

W miniony czwartek zapowiedzieliśmy na łamach „Głosu” nową akcję, zatytułowaną REZERWY — WNIOSKI — REALIZACJA, w której udział wziąć może każdy nasz Czytelnik, pragnący podzielić się uwagami, spostrzeżeniami, wnioskami z zakresu przemysłu, gospodarki komunalnej, transportu, budownictwa, zarządzania. W naszej akcji przede wszystkim chodzi o wszelkiego rodzaju rezerwy, których wykorzystanie może być społecznie pożyteczne. Interesuje nas także to wszystko, co wiąże się z praktyczną realizacją postulatów i propozycji, zgłoszonych przez ludzi pracy w toku dyskusji przed IV Zjazdem partii.

Najcenniejsze wypowiedzi będziemy publikowali, honorując je według redakcyjnych stawek. Ponadto, po dokonaniu oceny wydrukowanych materiałów, najlepsze z nich zostaną wyróżnione premiami w wysokości: jedna — 1.000 zł oraz cztery po 500 zł. Dzisiejszy artykuł, drukowany w ramach „Akcji R”, opracowany został przez dziennikarza „Głosu” i nie będzie brany pod uwagę w toku oceny zamykającej cykl publikacji; artykuł ten drukujemy po to, by Czytelników lepiej zorientować o jakiego typu materiały chodzi. Czekamy na Wasze listy z wypowiedziami!

Piotr Chojnacki

Pół miliarda w oponach

Komplet opon do pojazdu mechanicznego typu „Warszawa” kosztuje użytkownika 4.000 zł. Komplet opon do ciężarówki „Star” — 10.000 zł (ceny zaokrąglone). Po szosach naszego kraju jeździ około 1,7 miliona najróżniejszych pojazdów mechanicznych — jedno i dwusładowych. Do tego dochodzi parę milionów rowerów, ogumionych maszyn rolniczych, przyczep i wozów chłopskich. Wartość zużywanego corocznie ogumienia oblicza się na miliardy złotych. Dla gospodarki narodowej nie może być więc obojętną trwałość wytwarzanych w kraju opon, to, czy zdzierają się one po przejechaniu 30 lub 50 tysięcy kilometrów. Szybko zdzierające się opony powodują zresztą nie tylko wzrost kosztów eksploatacji samochodów (a więc pośrednio kosztów transportu i produkcji przez ten transport obsługiwanej); daje się także odczuć sztuczny wzrost zapotrzebowania na częściej niż normalnie zmieniane opony. Wyłania się problem reglamentowania ich sprzedaży, zwiększonego importu kauczuku, budowy nowych fabryk ogumienia. Zdarte opony to poza tym przyczyna niektórych wypadków drogowych.

Dotychczasowy system planowania, plac, bodźców ekonomicznych i mierników oceny pracy fabryk ogumienia — wyraźnie preferował w Polsce ilość a nie jakość produkcji. Być może, iż wprowadzone od lipca nowe zasady premiowania pracowników umysłowych ten stan nieco zmienią, przynajmniej od strony administracji zakładu. Jednak płace robotników nadal zależne są od wykonania określonej ilości ogumienia.

Rytmika dostaw surowców i materiałów jest wprost skandaliczna. Wystarczy powiedzieć, iż na przykład w „Stomilu” okresowe zahamowanie w dostawach przewidzianych technologią i niezbędnych surowców, spowodowały w roku 1962, aż 380 zmian w recepturze składników opon, w roku 1963 — 350 zmian, a w I półroczu 1964 — już 152 zmiany! Inaczej mówiąc, chcąc utrzymać ciągłość produkcji i wykonać plan, „Stomil” musi codziennie imпровizować nową recepturę. Tymczasem guma ma swoje wymogi i tajemnice...

Brak wymaganej ilości, czy jakości, jednego tylko składnika w mie-

szance, powoduje kolosalne różnicowanie jakości gotowego produktu. Ludzie ze „Stomila” do dziś nie mogą np. dociec dlaczego dwie opony, wyprodukowane tego samego dnia lecz w różnych godzinach, wytrzymują: jedna 80 tysięcy, a druga tylko 10 tysięcy kilometrów jazdy?!

Podstawowe maszyny „Stomila” są mocno sfatygowane. Niektóre walcarki i maszyny konfekcyjne mają po 25 lat. Maszyny do wulkanizacji — około 30 lat. Kalandery czterowalcowy, serce fabryki — także tyle. To też ma wpływ na dokładność stosowania zasad technologii. Tym bardziej, iż fabryka nie może zabezpieczyć tym maszynom w pełni sprawnych przeglądów, konserwacji i remontów.

Guma to wąska specjalność, i — jak już powiedzieliśmy — ma swo-



je tajniki. Opanowanie samej tylko technologii walcowania, konfekcjonowania, czy wulkanizowania produktu — wymaga wielu lat praktyki, a więc i ustabilizowanej załogi. Tymczasem w „Stomilu” płynność załogi jest zatrważająca. Na przykład w roku 1962 fabryka zwolniła 609, a przyjęła 865 pracowników; w roku 1963 — zwolniła 506, a przyjęła 585 pracowników, a w I półroczu 1964 zwolniła już 284 i przyjęła 285 nowych pracowników! Proces ten trwa nadal. Jego główną przyczyną są szczególnie ciężkie warunki pracy i — zdaniem odchodzących — nie ekwiwalentne do wkładanego wysiłku warunki materialne.

Te cztery, wymienione wyżej przyczyny, aż nadto wystarczają do złamania u podstaw delikatnego i wrażliwego na wszelkie wstrząsy reżimu technologicznego produkcji opon, głównego czynnika przesądającego jakość i trwałość wyrobów. Ponieważ stało się to już dawno, a ani władze resortowe, ani instytucje powołane z urzędu do ścigania i ograniczania dopływu na rynek złych jakościowo wyrobów nie reagowały na ten stan rzeczy — u wytwórców opon zapanowała

swoista atmosfera niefrasobliwości. Wyraża się ona m. in. w przeświadczeniu, iż nonsensem jest jakiegokolwiek porównywanie trwałości polskich opon z podobnymi oponami takich firm, jak „Dunlop” czy „Michelin” oraz wyliczanie na tej bazie strat lub — jak kto woli — potencjalnych rezerw i oszczędności, bo to są podobno rzeczy nieporównywalne...

Niemniej jednak, niektórzy pracownicy „Stomila” takie amatorskie — bo szacunkowe — wyliczenie sporządzili. Ponoć, gdyby udało się

Romuald Grząślewicz

olimpijczyku

Natężaj
wolę i mięśnie
swoje
Walc
by zwyciężać
rywali
Zwyciężaj
i wieńcz czoło
laurem

olimpijczyku

Sitły
w nienawiść nie
zamieniał
Przemocy
nigdy nie
narzucaj
I krwi
niewinnych nie
przelewaj

olimpijczyku

pamiętaj w kraju wschodzącego słońca

o człowieku

który zostawił swój cień

na ocaltym murze zamordowanej Hiroszimy

pamiętaj w kraju kwitnącej wiśni

o człowieku

zwalonym twarzą w piach

tlusty i mokry afrykańskim skarbem czarnych ludzi

myśl o tym

i mów

w kraju XVIII igrzysk olimpijskich

ery

nowożytniej

Poznań, 1964 r.

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 156

11. X. 1964

Rok IV

zwiększyć trwałość wszystkich krajowych opon tylko o 30 procent, to na każdym cyklu ich użytkowania można by zaoszczędzić około pół miliarda złotych!

To amatorskie, szacunkowe i na pewno niepełne wyliczenie strat (należałoby przecież uwzględnić także straty, wynikłe z ponadnormalnego zużycia benzyny, szybszego zużywania się pojazdów i dróg, wypadków spowodowanych złą przyczepnością opon itp.), obrazują w przybliżeniu wagę tego problemu dla gospodarki narodowej.

Jest także w „Stomilu” liczna grupa pracowników, którzy uważają, iż nawet w obecnie istniejących warunkach można trwałość opon wydatnie poprawić. Solidaryzujemy się z nimi i — zapraszamy do nadesłania wypowiedzi w naszej publicystycznej „Akcji R”.

Tadeusz Becela

„Chłopcy z łajby 213”

(Wyjątek)

„Chłopcy z łajby 213” — to tytuł książki, za którą poznański autor otrzymał w 1963 roku I nagrodę na konkursie rozpisany przez Wydział Kultury Prezydium WRN i Zarząd Wojewódzki ZMW w Łodzi. Tematem są autentyczne przeżycia marynarza z morskiej jednostki Wojsk Ochrony Pogranicza, przedstawione w formie narracji. Opowieść „Chłopcy z łajby 213” ukaże się wkrótce na półkach nakładem Wydawnictwa MON.

O młodzięży powiedziano w ostatnich latach wiele złego; że płytki, niezaangażowana w wielkie sprawy narodu. Ucieka także od wysiłku, który nie daje konkretnych korzyści. Powiedziano też, że nasze życie nie jest jeszcze usłane różami; jest się o co bić, a młodzi nie garnie się do walki. Zawód dobrze płatny i owsem, może być ale to przecież jeszcze nie jest ideowość. Niezrażałem nad przemijaniem znaczenia wielkich słów — o co właściwie chodzi — o postawę, gotowość do wielkich czynów, czy o dokładne wypełnienie swych codziennych obowiązków bez pokrzykiwania majstra, czy bosmana?

Na morzu taką dyskusję chłopcy uznaliby za mowę — trawę. Wśród załogi obowiązuje żelazna zasada solidarnej odpowiedzialności za wykonanie zadań. Lekceważenia obowiązków morze nie toleruje — jeden moment nieuwagi, czy lekkomyślności i wszyscy placą najwyższą cenę... Dlatego nie może tu być taryfy ulgowej — każdy musi umieć i chcieć zrobić, co do niego należy...

Oczywiście tak jest tylko na morzu. W porcie to różnie bywa. Na lenistwo może zachorować każdy, wtedy nie zmusisz takiego do roboty nawet najmocniejszym słowem — chyba żeby pójść ze skargą do dowódcy, co nie należało do dobrego tonu. Zresztą Stary orientował się doskonale w sytuacji i nie angażował swego autorytetu w likwidowanie El-be. To był skrót oznaczający lewą burtę, która służyła z nieróbstwa i umiejętności leniuchowania. Kocia muzyka wykonywana przez zespół El-be w chwilach nieróbstwa była także jedyną w swoim rodzaju.

O tej dwoistości naszego narodowego charakteru przekonaliśmy się na nowej łajbie, na której zaokrętowano nas do wrzesnia. Z badań stocznioowych wróciliśmy w połowie października. Kilka dni stał nasz OP na redzie w Gdyni, gdzie odbywały się próby demagnetyzacji i dewiacji. Połowę załogi stanowili wtedy fachowcy ze stoczni, prowiantowała nas „Beltona”. Kucharzem był cywil, jedynie stawił wspaniale. Nie będę wspominał tych specjalów, gdyż w dołku mnie ścisła na samą myśl. Szczególnie smakowały mi konfitury z żurawin i borówek... Wiedzę zresztą, że to lubię.

Obchodziliśmy też, jak co roku, święto wojska polskiego. Z tej okazji nadawano na okręcie stopnie i funkcje. Trafił i mnie ten zaszczyt, jedna złota belka na rękawie i parę funkcji do tego. Zaszczyt był skromny, za to odpowiedzialność i obowiązki gwałtownie wzrosły. Bohaterem, podobnie jak prorokiem trudno zostać wśród rówieśników. Kto potrafi skłonić kolegów do wykonywania rozkazów, nie rezygnując z przywilejów koleżeństwa, ten na pewno zda każdy życiowy egzamin.

Powoli zbliżała się zima, a z nią zastrzały warunki służby. Czas opalania i plażowania minął, morze było coraz burzliwsze i głośniejsze. Tylko przy kąpieli widać było na naszych ciałach ślady słońca. Zresztą operator regulujący temperaturę wody w łaźni starał się zetrzeć z nas i te ostatnie widome resztki letniego lenistwa. Mówimy nieraz, że można człowieka obłupić ze skóry. Nasz łaźniowy robił to w bardzo prosty sposób: — kilka razy gorącą wodą, po niej zimną i po kilku kąpielach byłś całkiem innym człowiekiem.

Gdyby tak można i tę drugą wewnętrzną skórę w tak prosty sposób odnowić — myślałem nieraz — ludzie byłiby o wiele przyjemniejsi w obcowaniu.

Życie na łajbie płynęło monotonnie — służba na radiobiurze, załatwienie seansów radiowych, odbiór prognozy i tak w kółko. Sami wie-

Dokończenie na str. 2

Czechosłowackie Brno i nasz Poznań można nazwać miastami bliźniaczymi. Nie należą one co prawda do takiej organizacji, ale są spowinowaczone na zasadzie rozszerzającej się współpracy. Współpracy tej dobrze przysługują się obustronne wymiany delegacji, w skład których wchodzi coraz liczniejsi działacze polityczni, społeczni, gospodarczy. Tym, co najtrwalej cementuje tę współpracę, jest jednak podobny zespół warunków, w jakich rozwijają się oba miasta.

Brno i Poznań rzeczywiście w wielu rysach przypominają bliźniaczych braci. Stolica południowo-morawskiego kraju (województwa) liczy dzisiaj 350 000 mieszkańców, a dojeżdża tu jeszcze codziennie 100 000 do miejscowych zakładów pracy. Przemysł brneński jest podobnej struktury jak u nas, a przy tym tkwi on również w urodzajnej krainie rolnictwa: winnic, buraka cukrowego i pszenicy. W dodatku równie Brno jest co roku handlową stolicą z okazji Międzynarodowych Targów. Ma więc także podobne problemy komunalne, specyficzne dla targowych miast.

Wystarczy tych rysów powinowactwa, by zainteresować się bliżej „krewniakiem”.

Na przykład — organizacja Targów. Historia Międzynarodowych Targów Brneńskich nie jest długa, bo liczą one dopiero sześć wiosen. Nie znaczą to jednak, że impreza nie ma światowego rozmachu. Odbyna się na dobrze przygotowanych, obszernych terenach wystawowych (120 000 m² powierzchni w tym 65 000 m² krytej), urządzonych jeszcze w 1928 r. W latach 1955-1957 odbywały się tutaj wielkie wystawy krajowe, które w 1959 roku przerodziły się w dzisiejsze MTB. Obec-

Zbilut Sęk

Podpatrzone w Czechosłowacji

nie Targi Brneńskie demonstrują najnowszą, światową technikę, a Brno — gospodarz imprezy — dosko-

nałą organizację. Dla zapewnienia lepszych warunków ekspozycyjnych zbudowano w 1959 r. piękny w konstrukcji i architekturze pawilon „Z”, który daje Targom jedną czwartą całej powierzchni krytej. Dla wygody gości targowych wzniesiono w ciągu minionych 2 lat dwa nowoczesne hotele. Brno nie żałuje wydatków na inwestycje targowe, choć też ma niełatwe problemy z budownictwem.

Przed rokiem powstała na przykład potrzeba spiesznego wybudowania gmachu dyrekcji MTB. Brneńskie przedsiębiorstwo budowlane zapew-

nie przechodząc nawet do osobnych pomieszczeń.

Sporo miejsca mają dla siebie dziennikarze. Przydzielono im na ośrodek prasowy, recepcję i restaurację — 5 budynków w pobliżu Targów. Jako poznaniak nieraz rumieniłem się na wspomnienie naszego „ośrodka” i jego restauracyjnej obsługi.

Specjalnym problemem dla Czechosłowaków było od początku wyżywienie i zakwaterowanie gości targowych. Tutejszym zwyczajem do Brna przybywa co roku prawie milion zwiedzających! I małe Brno zaradziło kłopotom. Znalazły się noclegi w starych i nowych hotelach, w kwaterek prywatnych (ostatnio

nawet nie wykorzystywanych). Personel hotelowy jest specjalnie szkolony, bo do obsługi gości gospodarze brneńscy przywiązują szczególną uwagę. 29-letni dyrektor hotelu „Metropol” — Rostislav Nedbalik, nie jest tu wyjątkiem: po dwóch szkołach ekonomiczno-hotelarskich studiuje zaocznie Wyższą Szkołę Ekonomiczną, specjalizując się w... obsłudze ruchu turystycznego. Taki człowiek widzi celowość inwestycji, pożyczyl więc w banku pieniądze i zbudował drugą salę restauracyjną. Wyliczył bowiem, że koszty zwrócić się w ciągu jednego roku.

Gastronomia czechosłowacka to specjalnie zajmujący problem. Na razie przypatrzmy się, jak działa

niało termin ukończenia inwestycji w ciągu 14 miesięcy, co organizatorom Targów wydawało się stanowczo za długo. Do budowy wzięła się więc targowa brygada. Przy społecznym współudziale załogi MTB, brygada ta postawiła w ciągu 6 miesięcy piękny kompleks gmachów z recepcją gości zagranicznych z salami bankietowymi, atrium i przestronnym barem. Cały ten zespół niosł dziś nazwę Klubu Wystawców. Piękno i nowoczesność techniki z każdego kąta. Choćby takie kabiny telefoniczne: w halu Klubu znajdują się kilka telefonów, nad którymi umieszczono ogromne szklane kule. Rozmówca, stojąc pod takim baldachimem jest odizolowany od hałasu,

Brno: bliźniak czy starszy brat?

Literackie spotkania z NRD

Posiadamy wielu wybitnych znawców literatury niemieckiej, wśród których nazwiska Wilhelma Szewczyka z Katowic, Romana Karsta z Warszawy, Jana Koprowskiego z Łodzi, poznaniaków Aleksandra Rogalskiego czy Egon Naganowskiego — liczą się także w życiu literackim naszego kraju. Nie jest, niestety, podobnie jeżeli chodzi o ludzi zajmujących się polskim piśmstwem w NRD. Nadzieje na zmianę tego stanu rokuje obecnie fakt, że wielu przedstawicieli młodzieży literackiej zaczyna bacznie śledzić wydarzenia wydawnicze w naszym kraju.

Udając się trzy miesiące temu wraz z Czesławem Centkiewiczem do Berlina, jako delegacja Zarządu Głównego ZLP, aby podpisać tam umowę z Zarządem Głównym Związku Pisarzy NRD o wzajemnej wymianie — zabraliśmy z Ministerstwa Kultury i Sztuki szczegółowy spis wszystkich książek pisarzy niemieckich, które ukazały się u nas po wojnie. Nie mogę w tej chwili podać dokładnej liczby, ponieważ listę tę zostawił mi attaché kulturalnemu naszej ambasady Janowi Kiedrowskiemu; daremnie domagał się przez długi czas tego dokumentu, który jest niezbędnym jako argument dla rozwiniętej przez niego z wielkim rozmachem akcji propagandowej naszej literatury i sztuki!

Porównując jednak wydane w naszym kraju tytuły książek pisarzy z podobnym zestawieniem polskich książek, dokonany przez kierownika Wydziału Zagranicznego Związku Pisarzy NRD Erika Lange — mogliśmy z dumą stwierdzić, że w tej dziedzinie uczyniliśmy co najmniej trzykrotnie więcej. Wielka w tym zasługa Wydawnictwa Poznańskiego i Wydawnictwa „Śląsk”, które specjalizują się w tematyce niemieckiej.

Oczywiście, należy brać pod uwagę i to, że obywatele NRD mogą korzystać z przekładów, ukazujących się na całym obszarze niemieckiego kręgu językowego — więc również w NRF, Austrii i częściowo w Szwajcarii. Nie można też zapominać o tym, że w ciągu 15 lat, jakie upłynęły od chwili powstania NRD, przetłumaczono tam i wydano więcej książek polskich autorów, niż w ciągu pierwszych 45 lat dwudziestego wieku na obszarze całych Niemiec. Zrodzone dziesiątki lat temu określenie literatury polskiej jako nieznanej (unbekannte Literatur) — dopiero teraz zaczyna się zmieniać.

Jan Koprowski wspominał, że na dwunastu nauczycieli i studentów z Berlina i innych miast niemieckich, którzy

przebywali na wczasach nauczycielskich w Międzyzdrojach — ani jeden nie słyszał o Mickiewiczu! Zaś Kurt David w zbiorze reportaży z Polski „Polonische Etiden” — przyznaje, że wędrując po Łodzi zapytał przewodnika: kto to jest ten Władysław Stanisław Reymont, którego imieniem nazwano mijany akurat plac? Możemy sobie wyobrazić, jak nikt nie pojęcie ma niemiecki czytelnik o współczesnej literaturze polskiej, skoro obce jest mu nazwisko Mickiewicza i laureata Nagrody Nobla — Reymonta.

Szczególnie słabo znana jest poezja — właściwie nie ma w tej chwili w NRD ani jednego tłumacza, który zajmowałby się wyłącznie przekładami polskich wierszy. Czynną to na podstawie dosłownych tłumaczeń filologicznych — poeci nie znający języka polskiego, albo tłumacze naszej prozy jak utalentowany Henryk Bereska.

Podpisana w czerwcu umowa — może stać się więc momentem przełomowym. Przewiduje ona bowiem nie tylko 3 wymienne wyjazdy dwutygodniowe w ciągu roku na koszt Związku Literatów: naszego i niemieckiego. Omówiliśmy również sprawę seminariów tłumaczy — niemieckich w Polsce, polskich w Niemczech — a także półrocznych stypendiów dla osób zajmujących się przekładami. Sformulowano również oficjalnie pełne poparcie dla wzajemnych odwiedzin poszczególnych pisarzy.

Podczas uroczystego obiadu w berlińskim Klubie Dziennikarzy z okazji podpisania umowy — stronę niemiecką reprezentowała Anna Seghers — zetknęliśmy się osobicie z czołowymi pisarzami NRD. I wtedy, i podczas późniejszych spotkań w Lipsku, Halle, Weimarze i Dreźnie — doszliśmy do przekonania, że wiele ciekawych zjawisk mamy do przyswojenia polskim czytelnikom. Szczególnie dużo interesujących pozycji ukazało się po przełomowej konferencji w Bitterfeld — co podkreślali wszyscy rozmówcy. Tam właśnie zyskała oficjalne uznanie dyskusyjna powieść młodego debiutanta Krysty Wolf, ostatnio sfilmowana, „Podzielone niebo” — o dramatach ludzi rozdzielonych berlińskim murem...

Mnie, ze zrozumiałych względów — najbardziej interesowali poeci. Są bardzo różni — jak różne są ich drogi, którymi doszli do zajmowanych obecnie pozycji literackich i ideowych. Günter Deicke, 40-letni mężczyzna, z nerwowym tikiem oczu, był oficerem łodzi podwodnej podczas ostatniej wojny. Karl Mickel jest młodym absolwentem Wydziału Historii. Już pierwszy jego zbiorek z jednego wiersza „Pochwały i nagany” — wniósł swoim średniowiecznym obrazowaniem o współczesnych treściach intelektualnych — coś odrębnego do ogólnego obrazu dzisiejszej literatury niemieckiej.

Najwybitniejszy z żyjących poetów starszego pokolenia Georg Maurer — jest profesorem Instytutu Literackiego w Lipsku. W jego mieszkaniu poznałem właśnie parę małżeńską młodych poetów: Sarah i Rainera Kirschow. Mieszkają w Halle, gdzie miejscowe wydawnictwo skupia wszystkie najbardziej obiecujące talenty — także plastyczne: ilustruje tu książki wybitny grafik berliński Ronold Paris.

Doradcą poetyckim tego odważnego edytora z Halle „Mitteldeutscher Verlag” jest młody liryczny i poważny już dorobku — Heinz Czechowski. Jego właśnie, korzystając z dobrodziejstwa zawartej umowy pomiędzy Związkiem Pisarzy NRD a ZLP, zaprosiłem do odwiedzenia Poznania na wiosnę...

Tłum.: RYSZARD DANECKI

Sarah Kirsch

Znajomość

Dobry dzień, grzebieniu —
nie chcesz
zostać u mnie,
żebyś ładną była wciąż?

Dobry dzień, mój kocie —
nie chcesz
zostać u mnie —
tak wesóły jesteś,
na dwóch nogach zatańcz!

Dobry dzień, kochany —
nie chcesz
zostać u mnie —
jestem ładna przecież,
no i śmiać się umiem!

Heinz Czechowski

Epilog

Wszystko, co człowiekowi trzeba: ciepłą bieliznę
na zimę i przewiewną koszulę latem na grzbiet —
posiadam. Światła i węgla potrzebuje też,
zeby pokój ogrzać i wyraźnie widzieć,
co ręka moja pisze za wiersz...
Więc chętnie stawie prostej rzeczy wartości
i wszystko, co dla życia niezbędne jest.
Niechętnie się ograniczam do spojrzenia w dal gdzieś.
Ćwiczę się w widzeniu. Uczę rzeczywistości.

Tłum.: RYSZARD DANECKI

Przeglądamy
Prasę

XV ROCZNICA POWSTANIA NRD

„Kultura” publikuje artykuł Jerzego Krasuskiego pt. „Z naszego punktu widzenia”. Autor z okazji XV rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej, snuje interesujące rozważania na temat istoty żywojących sprzeczności pomiędzy Polską i Niemcami, opierając się przy tym na rzeczowym materiale historycznych faktów. J. Krasuski przypomina: „Konstytucja Niemiec Demokratycznych, uchwalona przez Kongres Ludowy w marcu 1948 r. pierwotnie dla całych Niemiec, musiała wejść w życie tylko w jednej strefie. Problem niemiecki pozostał nierozwiązany i brak po dziś dzień traktatu pokojowego. Zjednoczenie przez pochłonięcie mniejszego państwa niemieckiego przez większe, nastawione rewizjonistycznie i agresywnie, nie jest możliwe i nie leży w interesie ani obozu socjalistycznego, ani samych Niemców. A czy byłoby korzystne dla państw kapitalistycznych?”

RAPORT WARRENA

Zygmunt Broniarek publikuje na łamach „Kultury” artykuł pt. „Bez ostatniego zdania”, który jest pierwszą częścią zamierzonego cyklu na temat raportu komisji Warren. Ten sam problem porusza w „Polityce” na czterech stronach Wiesław Górnicki („Cała prawda”). Streszcza on 880 stron raportu, nazpikowanego setkami nazwisk, dat, liczb i cytatów. Mimo to dokument komisji Warren nie jest pełny, pozostawia

mnóstwo wątpliwości, sygnalizowanych zresztą przez W. Górnickiego. Oba materiały — i w „Kulturze”, i w „Polityce” — czyta się jak sensacyjną opowieść.

„Pierwszy pocisk ugodził prezydenta w szyję. Prezydent schylił się za krtań i kark, szepnął: „jestem trafiony”. Pierwsza zorientowała się pani Kennedy. Krzyknawszy „Mój Boże, Jack! Oni zabili mojego męża!” schwyliła męża w objęcia. Nie wiadomo dokładnie, w jakim momencie tej sceny padł drugi i trzeci strzał. Faktem jest tylko, że gub. Connally uratował sobie mimowolnie życie, odwracając się silnie do tyłu po pierwszym strzale. Gdyby nie ten zwrot, następny pocisk zmasakrowałby jego głowę”.

— pisze W. Górnicki.

POLSKA PO WRZEŚNIU 1939 r.

„Polityka” rozpoczęła zapowiadana publikację nowego cyklu historycznego Marii Turlejskiej, obejmującego dzieje Polski po wrześniu 1939 r. Autorka, docent Uniwersytetu Warszawskiego, porusza w tym cyklu rozrywki polityczne na emigracji, politykę eksterminacyjną okupanta hitlerowskiego, formowanie się zależków Ruchu Oporu, starcia zbrojne i konflikty ideologiczne — wszystko to na szerokim tle wydarzeń wielkiej wojny. Pierwszy artykuł pt. „Sukcesja po Mościckim” obejmuje sprawy związane z kompletowaniem nowego rządu emigracyjnego. W artykule pojawiają się ośmienie nieudane nazwiska: Raczkiewicz, Sikorski, Raczyński, Wieniawa-Długoszewski i wiele innych. Bardzo pouczająca i ciekawa lektura.

„OBYWATELSKA”

...to tytuł artykułu Filipa Grabosia w „Prawie i Życiu”. Autor pisze o współczesnych proble-

cie jak to w wojsku, trudno każdego dnia urządzić atrakcyjne ćwiczenia i oczekiwać mocnych wrażeń. Zresztą tak całkiem beznadziejnie się nie żyło. Załoga naszej łajby składała się z przedstawicieli ośmiu województw. W tak dobranym towarzystwie tarcia zdarzały się nieraz. Mimo jednolitego umundurowania, każdy był trochę inny. Nawyki wyniesione z rodzinnych domów nie zawsze ułatwiały życie w kolektynie. Jest wiele spraw drobnych, choćby sprawa mycia nóg... Pachniały niektórym, że można było zemścić. Uważacie, że to nieprzyjemny temat? Ja także, ale co z takim zrobisz? Na pokład go nie wyrzucisz. Przyczuliśmy ich do mycia i wszyscy z wrażliwymi nosami pilnowali, żeby nie zapominali codziennego moczenia. Regulamin przewidywał tylko cotygodniową kąpiel marynarskich ciał. W sprawie pachnących pedałów w nie nie stanowił i trzeba było tę lukę wypełnić własną inicjatywą.

Jedną z egipskich plag byli na okręcie karciarze, wysiadali nie raz przy kartach do drugiej w nocy. Grali brydża, kopa, szubę, makao — przeważnie o papierosy albo zapalki. W dniach po wypłacie żołdu zdarzały się i pieniężne stawki. Gdyby siedzieli cicho nie byłoby problemu. Oni jednak podniecali się więcej niż gracze przy ruletce i wykrzykiwali:

— Dychą go, daj mu funta!

Najbardziej zwinymi graczami byli Korba, Hegle i Mobutu, zwany także Lumumba. Wszystko to oczywiście przezwiska, na okręcie miał je każdy. Siadałem z nimi czasem do gry, ale częściej przeklinałem, chciałem spać a oni przekradzali. Gdy mnie zbyt naparzyli, rzucałem w nich butami, nie mówiąc o wiazance ciężkich słów.

Jeszcze gorzej było z chrapiącymi. Na tych jednak sposób był prosty,

„Chłopcy
z łajby 213”

Dokończenie ze str. 1

kładliśmy im na nos ich własne skarpetki, to pomagało na tyle, że można było zasnąć. Sen zresztą mieliśmy zdrowy i twardy. Poza tym nie braliśmy tych nieprzyjemności zbyt serio. Były one urozmaicheniem w codziennym trybie życia na łajbie.

Dzielnice niechęci ujawniały się wśród nas niezmiennie rzadko, można powiedzieć, że prawie ich nie było. Szkolne wychowanie młodzi przeciw wszystkim podobne. Gwarowych wyrazów też rzadko kto używał. Czasem dla żartu powiedziałem słowo gwarowe, albo takie zdanie, którego nikt nie rozumiał: — w zarzające na rycze stoją pyrkli w tytce.

Śmiali się wszyscy, nawet Ślązacy i Kaszubi chociaż byli bardziej wrażliwi na językowe docinki. Szybko i oni się wyrównali, gdy trafił się czasem jakiś zatwardziały oryginał, docieraliśmy go troskliwie na jednolity typ polskiego matrosa.

Najwięcej kłótni na okręcie zdarzało się z kucharzem i prowiantowym. Do dobrego jedzenia przywiązuje marynarz wiele uwagi. Każdy ma swoje ulubione specjalności, które jadłby codziennie. Stąd zatargi z kokiem albo fajfuszem były na porządku dziennym. Zdarzało się, że sprawa stawała nawet na zebraniu załogi. Czasem kończyło się to wychowywanie kilkunastoma dniami mamra. Stary w tych sprawach zawsze stawał po naszej stronie. Nikt nie uwzględniał trudności kucharskiego warsztatu przy pięćdzie-

zeniem oka, z ironią, ze swobodą obcowania z filozofia na co dzień, tutaj choćby przez niejedną parodie.

Znajdzie się w PIW-ie, tej oficyny bowiem książki dzisiaj omawiam, jeden ciekawy debiut. To tom opowiadań Bogdana Madeja „Młodzi dorosli ludzie”. Autorem znanym, dotąd jako dobrego tłumacza Faulknera. Własna bogata biografia zezwoliła Madejowi na szerokie poznanie ludzi i ich spraw. Poza jednym wyjątkiem, w opowiadaniach swych autor sięga w czas okupacji, ukazując bohaterów tak w sytuacjach dramatycznych jak na pozór bardzo codziennych, ale wymagających od nich decyzji. Ujmując bardzo humanistycznie stosunek autora do spraw człowieka. Zdać się rościć niemały, oryginalny talent.

A teraz trzy zbiory eseistyki i krytyki literackiej. Zacząć wypadłoby od „Ładu i nieładu” Pawła Hertza, gdzie autor w szkicach, przeważnie wynikłych na marginesie lektury książek snuje rozważania na temat kultury polskiej, jej funkcji i roli oraz miejsca w kulturze europejskiej. Rozważania te w niejednym są bardzo odkrywcze, ujawniając nieznane częstokroć związki kulturowe. Wiele do myślenia dają szkice Arтура Międzyrzeckiego, zawarte w tomie „Poezja dzisiaj”, a mające sianowicie próbę ukazania istoty współ-

czesnej poezji, także przez analizę stających na jej drodze trudności, polegających także na tym, by zamknąć w poemacie „przeszłość i przyszłość” przemianę jedną umykającą chwilą teraźniejszości, wyobraźnię, pamięć i wiedzę, nie tylko o niepokoju, lecz także o sumieniu i świadomości ludzkiej, toczące nieustanny dialog z osobami i rzeczami swej współczesności”. Trzecim wreszcie tomem z tej dziedziny są szkice Jerzego Kwiatkowskiego o poetach współczesnych „Klucze do wyobraźni”. Wymienie tylko już poetów szczególnie interesujących autora: Baczyński, Gajcy, Bieńkowski, Różewicz, Szymborska, Zych, Herbert, Nowak, Harasymowicz, Białoszewski, Bursa, Grochowiak.

I jeszcze kilka danych informacyjnych. Ze wznowień otrzymaliśmy „Wybór opowiadań” Tadeusza Borowskiego oraz „Uliczkę Klasztorną” Anny Kowalskiej, poświęconą pierwszym latom polskiego Wrocławia. Zbiór „Pism” Josepha Conrada uciechy wiadomości o ukazaniu się nowego tomu „Opowieści niepokojące. Opowieści zasłyszane”. Ukazał się też tom czternasty wytworów wydawanych przez PIW „Kronik” Bolesława Prusa.

Zbiór „Pism” Josepha Conrada uciechy wiadomości o ukazaniu się nowego tomu „Opowieści niepokojące. Opowieści zasłyszane”. Ukazał się też tom czternasty wytworów wydawanych przez PIW „Kronik” Bolesława Prusa.

TADEUSZ BECELA

Zbiór „Pism” Josepha Conrada uciechy wiadomości o ukazaniu się nowego tomu „Opowieści niepokojące. Opowieści zasłyszane”. Ukazał się też tom czternasty wytworów wydawanych przez PIW „Kronik” Bolesława Prusa.

Z książką na ty

cję warszawskiego przemysłu zużytego technicznie na terenie województwa, ograniczenie rozbudowy nowego przemysłu jedynie do inwestycji koniecznych z racji postępu technicznego, eliminujących się roboczą (mechanizacja, automatyzacja) i zarazem zwiększenie inwestycji przemysłowych i innych na terenie woj. warszawskiego.

„GORZKI SMAK JABŁKA...”

Artykuł pod tym tytułem napisał w „Tygodniku Demokratycznym” Bogusław Reichhart. Autor zaczyna od interesujących spostrzeżeń statystycznych, wśród których najbardziej szokuje to, że w Polsce jest się więcej mięsa niż owoców! Obwinianie za ten stan rzeczy... urodzajów jest zbyt dużym uproszczeniem, bowiem bez względu na to, czy urodzaj jest dobry, czy zły — podaż owoców jest u nas niedostateczna. Rzecz ciekawa, że handel — zdaniem MHW — mógłby wchłoniąć bodaj i dwa razy tyle towarów pod jednym podstawowym warunkiem: jakości tego towaru musi być wyższa. Podobnie sprawa wygoda z eksportem. A więc nie bez winy jest tu producent, ale...

„Wydać się, że za to zgłajaszaltowanie produkcji ogrodniczej dużą część winy ponosi niewłaściwa polityka cen. Jak dotąd, nie uwzględnialiśmy w należytnym stopniu zasady, że za dobry towar należy płacić dobrze, a za zły — źle. Ekonomicznie uzasadnione nożyce cen są tu nie dość jeszcze rozwarte. Za mało stworzono bodźce dla uprawy szlachetnych odmian drzew owocowych i za mało antybodźce do zaniechania uprawy drzew i krzewów nieszlachetnych i mało wydajnych”.

A więc wino nie tyle producenta, ile za mało operatywnej polityki skupu. Ta argumentacja jest przekonująca.

LEKTOR

mach Milicji Obywatelskiej, przypomina także jej początki, okres heroicznych zmagania z wrogami ludowej ojczyzny:

„Były miesiące w latach 1944-1947 kiedy co godzinę ginął od kul wrogięgo podziemia jeden człowiek z frontu rewolucyjnego. Wśród tych ginących dominowali funkcjonariusze Milicji i Bezpieczeństwa Publicznego. Płonęły całe placówki, rozrywały się w nich wrogi granaty. Poległego ojca, jakże często zastępował na posterunku syn, a brata brat, nierazko nieletni. W tych przypadkach chodziło już nie tyle o akt charakteru militarnego ile manifestacji moralnej, politycznej. To były gorące dni. Dziś patrzymy już na to, jak na daleką, zamierzchłą niemal historię. Tymczasem mimo wszystkich okoliczności sprzyjających wówczas przemianom społecznym, sama rewolucja przebiegała dramatycznie. Chodziło przecież o wielką stawkę, a mianowicie o to, kto i w czym imieniu będzie gospodarzył krajem”.

ZA ROGATKAMI WARSZAWY — PROWINCJA

W „Tygodniku Kulturalnym” porusza ten temat Lech Jaszczyski w artykule pt. „W cieniu drapaczki chmur”. Autorowi chodzi o względne (w porównaniu z tuż tuż sąsiadującą siołca) zafanie województwa warszawskiego, które — acz ma swoje przyczyny historyczne — było przecież aż do czasu aktualnej 5-letki pomijane w rozdziale nakładów inwestycyjnych. W ten sposób — zdaniem autora — w myśl dewizy: „Kto nie idzie naprzód, ten się dąfa”, województwo warszawskie znalazło się na ostatnim w kraju miejscu pod względem uprzemysłowienia i pod względem wysokości nakładów inwestycyjnych w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Dopiero niedawno wydzignęło się na dwunaste miejsce. Autor postuluje zahamowanie wszelkich nowych inwestycji przemysłowych w Warszawie, restaura-